

POEZJA

**ANSELM
KIEFER**

"Nie rodzimy się kobietami,
STAJEMY SIĘ NIMI"

Procesy Norymberskie

365 godzin śledztwa
nadinspektora Borewicza

relacja z festiwalu

FONOMO 2017

Maksymilian Gwinciński

Wstępniak

Po przeczytaniu wszystkich artykułów niniejszego wydania "Splotu" dotarło do mnie, że w ogóle nie jesteśmy modni. Rozpoczęliśmy działalność naszego bloga, na którym znajdziecie nie tylko teksty z dwumiesięcznika, ale i cały ogrom innych ciekawych artykułów.

Jakie są nasze pierwsze wrażenia?

Pierwszy wniosek jaki nam się nasunął to ten, o którym pisałem w pierwszym zdaniu. Nie jesteśmy modni. Tylko niektóre z publikowanych przez nas tekstów tyczą się dzieł współczesnych. Większość treści stanowią jednak opisy i interpretację rzeczy pomijanych bez wyraźnego powodu w kulturze naszych czasów. Drugi wniosek to ten ważniejszy, czyli to, że jesteście z nami i czytacie, co mamy wam do zaprezentowania w sieci.

W ostatnim tegorocznym numerze znajdziecie m. in. relację z festiwalu Fonomo, błyskotliwe i zabawne opowiadanie pt. „365 godzin śledztwa nad-inspektora Borewicza” autorstwa Dariusza Bednarczyka czy artykuły o niezwykłych ludziach jakimi byli Ida Lewis oraz Stefan Themerson. Za nami rok ciężkiej pracy. Mamy wiele nowych pomysłów i możecie być pewni, że jeśli pozostaniecie z nami to nie zawiedziecie się. Miłego czytania!



Spis treści

MUZYKA

Veni, vidi, amavi 3

ESEJ

Hasło przedmiotowe: Poezja 6

SZTUKI WIZUALNE

Aż do nieskończoności 8

FILM

Procesy Norymberskie 12

OPOWIADANIE

365 godzin śledztwa... 14

FELIETON

"Nie rodzimy się kobietami..." 19

FELIETON

Latarniczka i Latarnik 22

POEZJA 26

Adam Kempa

Veni, vidi, amavi.

relacja z festiwalu FONOMO 2017



Pomysł "Splotowej" rubryki, w której zdawalibyśmy relacje z uczęszczanych imprez, światał redaktorom od dłuższego czasu, jednak do tej pory nie pojawił się dostatecznie silny impuls, by któremuś z nas przyszło pisać o jakimś wydarzeniu. Dziś ulega to zmianie, a to z okazji festiwalu tak udanego, że nie pozostaje nam nic innego, jak podzielić się pozytywnymi przeżyciami.

Festiwal pisze o sobie: „Przekraczając granice krajów oraz gatunków sztuki, i poszerzamy horyzonty, i dostrzegamy wartość własnych korzeni. Z jednej strony fascynuje nas różnorodność, zjawiska interdyscyplinarne, wielostronnie ubogacający dialog, z drugiej strony interesują nas rzeczywistość dźwiękowa i obrazowa, same w sobie. To wszystko razem skłania do zwrócenia szczególnej uwagi na subtelne związki pomiędzy dźwiękiem i obrazem, muzyką i filmem, operą i kinem kreatywnym a jednocześnie na osobowości twórców z regionu, Polski, jak i spoza kraju, na ich wrażliwości, zawodowe wybory, spotkania i wynikające z nich wzajemne inspiracje”. W praktyce tegoroczna edycja zaowocowała trzema

dniami festiwalu, przepełnionego koncertami, pokazami filmowymi, afterowymi występami DJ'skimi, wykładami i wystawą obrazów, a wszystko miało to miejsce w kilku bydgoskich ośrodkach kulturowych: Miejskim Centrum Kultury, Galerii BWA, klubie Mózg i Bydgoskim Centrum Sztuki.

Nie ma co tego ukrywać – powodów do nieobiektywności mam mnóstwo. Po pierwsze, na samej końcówce procesów organizacyjnych zostałem włączony do pracy na festiwalu jako pracownik techniczny. Po drugie, tegoroczny line-up obfitował w pozycje, których zwyczajnie nie mogłem się doczekać. Po trzecie, wciąż miałem w pamięci bardzo udaną, zeszłoroczną odsłonę.

Szczęśliwie (bo przecież byłoby nudno), moje wrażenia nie spotkały się dokładnie z oczekiwaniami. O ile nie mogę powiedzieć, że dwa muzyczne występy, na które czekałem najbardziej (BNNT oraz LOTTO) zawiodły, tak z pewnością mogę stwierdzić, że do zupełnie głębszych odczuć porwały mnie występy zagraniczne, zwłaszcza grupy występujące ostatniego dnia: niemieckie Joasihno oraz brytyjskie Ek-Easter Island Head. Ale po kolei.



fb.com/fonomo

Veni, uidi, amavi.

Siłą rzeczy, nie mogłem być na wszystkich wydarzeniach festiwalowych (poza tym ich mała część nakładała się czasowo na siebie), dlatego dzień pierwszy spędziłem w Galerii BWA, gdzie zagrano dwa eksperymentalne koncerty. Pierwszym występem był elektroniczny set kanadyjki Myriam Bleau, która z pewnością zaintrygowała niejednego słuchacza formą. Artystka do grania koncertu używa wyłącznie przygotowanych przez siebie dysków, które z od-



powiednią siłą rozkręcenia generują sample. W pomieszczeniu panowała zupełna ciemność, z wyłączeniem ledowych lampek na kręcących się dyskach, które z góry rejestrowała też kamera, na żywo rzucająca na ścianę obraz blatu artystki. Oczywiście metoda i artystyczny zamysł to najsilniejszy punkt występu, ale trzeba też powiedzieć, że sam repertuar broni się całkiem nieźle i uzupełnia dość chwilowy, mimo wszystko, zachwyt nad formą.

BNNT to prawdziwy cios energii. Galeria BWA z pewnością nie jest pomieszczeniem obfitującym w rewelacyjne rozwiązania akustyczne, więc gdy kolega Filip-akustyk po 10 sekundach rozgrzewkowej gry perkusisty stwierdził, że poziom dźwięku jest powyżej progu uszkodzenia słuchu (jeszcze przed włączeniem aparatury nagłaśniającej), wiedzieliśmy, że będzie to wyjątkowo głośny występ. Duet aktualnie promuje swoje nowe wydawnictwo *Multiverse*, na którym przy pomocy instrumentu strunowego skonstruowanemu własnoręcznie i wspomnianej wcześniej perkusji snują mroczne i transowe instrumentalne opowieści. O ile przesłuchanym wcześniej nagraniem byłem zachwycony, tak występ pozostawił mały niedosyt, tym bardziej, że niestety nie obyło się bez problemów technicznych (na początku drugiego utworu współpracy odmówił jeden ze wzmacniaczy artysty).

Drugi dzień koncertowy otworzył Lawrence English. Ze wstydem przyznaję, że nie słyszałem wcześniej o tym artyście, co po festiwalu nadrabiam aktywnie i z dużym zachwytem. English specjalizuje się w field recordingu, nagrywaniu dźwięków natury i wytworów ludzkich, które później poddaje różnym manipulacjom dźwiękowym. Występowi na FONOMO towarzyszyła projekcja filmu puszczonego w wyjątkowo silnie zwolnionym tempie (podobnie brzmiały dźwięki produkowane przez artystę). Po występie Australijczyka na scenę wkroczyło trio LOTTO, czyli bohaterowie zeszłorocznych zestawień płytowych, za sprawą bardzo ciepło przyjętego *Elite Feline*. Tak, to ta płyta, gdzie przez pół godziny grają literalnie dwa dźwięki. Była to dla mnie pierwsza okazja by posłuchać ich na żywo i muszę przyznać, że odrobinę żałuję, że nie grają już pierwszej płyty, która pomimo ironicznego żartu z mojej strony jest dla mnie doskonałym wydawnictwem. LOTTO koncertuje aktualnie z materiałem, które wyda w 2018 roku i obawiam się, że nie tylko ja mam wrażenie, iż artyści próbują zrobić płytę zbyt podobną. Muzycznie dzieje się więcej niż na debiucie, ale wgruncierzeczywadszymciągu jestto perkusyjny taniec, basowa mantra i przestrzenne uzupełnia- ▶

Veni, uidi, amavi.



fb.com/fonono

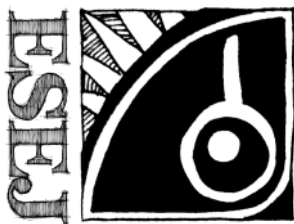
nie muzycznych struktur przez gitarzystę – Łukasza Rychlickiego, które tym razem, przynajmniej podane w wersji na żywo, odrobinę mnie znudziło.

Najjaśniejszym dniem festiwalu okazał się dla mnie ten zamykający. Organizator Artur Maćkowiak otworzył występy krótkim przemówieniem, w którym wyraził entuzjazm, że „nawet w takim mieście jak Bydgoszcz da się zgromadzić zadawalającą liczbę słuchaczy na festiwalu budowanym sztuką awangardową”. Zadowolony z geograficznej zaczepki i całkiem słusznej pochwały frekwencji oddałem się słuchaniu pierwszego koncertu, duetu Joasihno. Jeżeli kiedyś zastanawialiście się, ile instrumentów jednocześnie da się obsługiwać grając w duecie, to z pewnością możecie żałować nieobecności na tym występie. Muzycy grają siedząc na ziemi, pochyleni nad swoimi syntezatorami, gitarami, automatami perkusyjnymi i samplernami. Dookoła nich miejsce zajmuje... grająca scenografia. Muzycy zmechanizowali statuy z podwieszonymi na sznurku pałeczkami, w taki sposób by rytmicznie uderzały rozłożone na ziemi perkusjonalia. Podobnym systemem, przypominającym robota, który uderza w zaprogramowany sposób pałeczkami perkusyjnymi, muzycy przygotowali kilka kolejnych instrumentów, między innymi coś w rodzaju małej

marimby (nigdy nie byłem dobry z idiofonów) i akustycznego werbla. Całość robi piorunujące wrażenie. Niestety, z tak wymagającym setem koncertowym wiąże się ogromne ryzyko małych potknięć, których moje złośliwe ucho trochę wyłapało, ale z pewnością nie wpłynęło to bardzo negatywnie na odbiór tego jakże sympatycznego występu.

Prawdopodobnie jeszcze bardziej spodobał mi się zamykający występ Anglików z Ex-Easter Island Head. Ci dostojni dżentelmeni z ogromnym poszanowaniem dźwięku wykonali mistyczny koncert przy niestandardowym użyciu gitar elektrycznych, nastrojonych w taki sposób, by wydawać odpowiadające sobie, harmoniczne płaszczyzny przez uderzanie w korpus gitary bijakami perkusyjnymi wraz z grającymi z nimi perkusistą. Do teraz pozostaję w szoku, jak różnorodny i angażujący okołogodzinny występ można ułożyć na kanwie jednego pomysłu. Cóż można dodać, ponad wspomniane słowa organizatora. Wszystko wskazuje na to, że w ciekawej i wcale niewyeksplloatowanej alternatywie można znaleźć artystów, którzy zapewnią publiczności doskonałych wrażeń. Gdy dodać do tego mnogość wydarzeń (niestety na oglądanie seansów nie starczyło mi już czasu) i doskonałą organizację – przepis na sukces gotowy.





Agnieszka Bykowska

Hasło przedmiotowe: Poezja

o poezji semantycznej Stefana Themersona

Ten artykuł nie będzie dotyczył poezji. Będzie dotyczył działu literatury wykształconego poprzez stosowanie stylistycznych środków wyrazu, rytmiki i stroficznego schematu. Mogłabym też powiedzieć, że powyższy opis jest fałszywy bądź niekompletny, w związku z czym temat tworzącego się artykułu wciąż pozostaje niejasny. Samuel Beckett zamknął w jednym ze swoich największych dzieł *Czekając na Godota* taką myśl: „Zawsze coś wynajdziemy, żeby stworzyć sobie wrażenie istnienia.” A co w przypadku, kiedy na naszych oczach tworzy się coś, co zaliczając się jednocześnie do jednej z dziedzin sztuki, ma w założeniu sprowadzić nas na ziemię i dowieść istnienia rzeczywistości bezwzględnej, nieuznającej naiwności? Z tym problemem należy udać się do Stefana Themersona.

Bohater tego artykułu urodził się w Płocku w roku 1910. Od wczesnych lat widział siebie jako eksploratora różnych spojrzeń na działalność artystyczną – zaczynał od filmu. Awangardowe, zwykle krótkometrażowe produkcje współtworzone z żoną Franciszką, otworzyły przed nimi wspólną artystyczną ścieżkę eksperymentów. On – pisał, fotografował, filozofował, ona – malowała, rysowała, ilustrowała.

Kolejnymi ważnymi projektami duetowymi były czasopismo *f.a.* i wydawnictwo Gaberbocchus, znane z publikowania tzw. bestlookerów, czyli książek opatrzonych niekonwencjonalną oprawą graficzną. Jednak wciąż Themersonowi było mało. Po wstępnym spojrzeniu na świat rzeczywisty zza okularów abstrakcji, zabrał się za grę słów. I wywołał rewolucję.

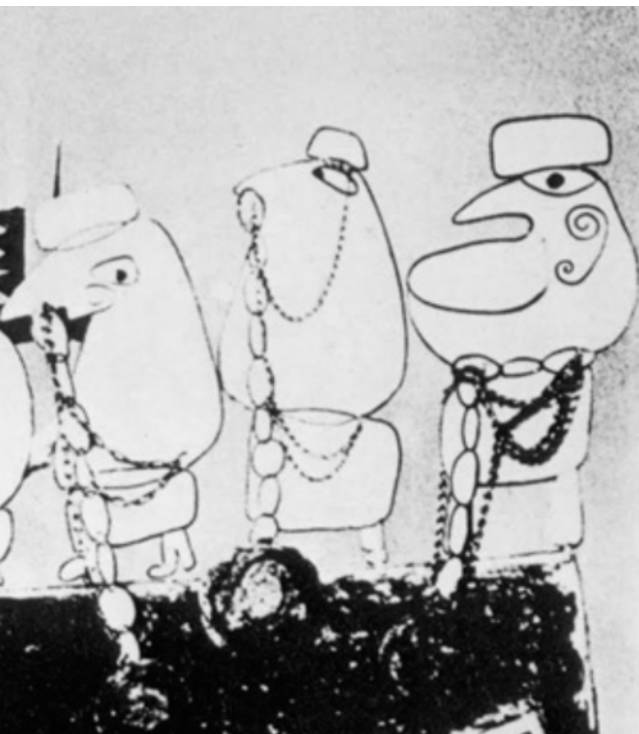
Tłumacząc proveniencję poezji semantycznej, Themerson mówi o obnażeniu liryki z metaforyki na rzecz semantyki. Według niego odczuwalna poetyckość sytuacji czy obrazu zastanego zostaje zamglona przez warstwy sztucznie nagromadzonych środków wyrazu. To tak jakby postawić w mieszkaniu wazon sztucznych kwiatów i zachwycać się ich zapachem, poddając się jedynie wrażeniom wzrokowym. Co Themerson stawia na piedestale swoich poetyckich poszukiwań, to empiryzm i kognitywistyka. Artysta sięga do słowników i opracowań metodologicznych w poszukiwaniu naukowego obrazu złożoności każdego z elementów składających się na świat, który nas otacza i inspiruje. Po raz pierwszy kształtuje manifest poezji semantycznej zawierając jej szkic w dziele *Bayamus* „Co uzyskuje?



Scena z przedstawienia "Król Ubu", scenografia i kostiumy Franciszki Themerson, fot. Płockiego Ośrodka Kultury i Sztuki /culture.pl

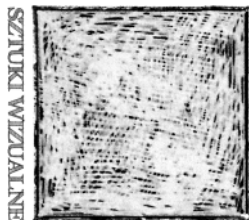


Chwalmy Cię
 Właścicielu mój
 za Brata naszego Ruch Powietrza
 który powstaje wskutek niejednostajnego ogrzewania
 się i wilgotności atmosfery
 i za tę Mieszaninę Azotu
 Tlenu
 Argonu
 Dwutlenku Węgla
 Wodoru
 Neonu
 Helu
 Kryptonu
 Ksenonu
 z niewielkim dodatkiem
 Pary Wodnej
 Azotanu Amonu
 Siarkowodorów
 & Częsteczek Kurzu



Układ wierszy Themersona również pozostawał niejasny. Często przybierały one formę rysunków, czy też grafów mających przedstawić schematyczność źródła inspiracji, jak w powyższym utworze. Poeta przez komfort formalności, w jaką ubiera swój przekaz, bawi się semantyką. Dokonując zmian ortograficznych i zmieniając paradygmat zapisu słów, nadaje im jednocześnie nowe znaczenia. Czytając o ciałach planetarnych oddalonych o niewyobrażalne ilości kilometrów od promienia Ziemi, jednocześnie staramy się analizować i odszyfrowywać język poety. Może ta odległość jest metaforą fizycznego rozstania dwojga niegdyś bliskich sobie ludzi? Być może te zaimki dzierżawcze sugerują powstały po rozstaniu podział na „moje” i „twoje”? Odrzućmy te wyuczone analizy na bok i spójrzmy poezji w oczy. W rozumieniu Themersona to nie zawikłana metaforika, a pamięć osobista i zdejmowanie miary rzeczywistości wpływają na autentyczny odbiór przekazu, jaki kieruje do czytelnika autor. Stefan od początku czuł się kompanem abstrakcji. Pił z nią kawę i palił fajkę stojąc przed wielkim oknem. Tworzył w języku własnych doświadczeń.





Maria Beutkod

Aż do nieśmiertelności.

Strzępki informacji o Anselmie Kieferze.

Miałam wielki problem z napisaniem tego tekstu. Po tygodniach prób okazało się, że pisać mogę tylko słuchając *Pierścienia Nibelungów* Wagnera - którym inspirował się na pewnym etapie przedmiot mojego przedstawienia - Anselm Kiefer. Dlaczego wspominać o tym pozornie nic nieznaczącym szczególe? Bo sam Kiefer uważa, że bardziej niż samo, skończone dzieło, liczy się proces jego powstawania.

W jednym z wywiadów przywołał on znane wszystkim obrazy Moneta. Serię przedstawień katedry w Rouen, którą malował o różnych porach dnia i roku. Anselm podkreślał, że w tych przedstawieniach ważne są nie same obrazy, a właśnie przestrzeń w czasie pomiędzy nimi. To właśnie starał się uchwycić Monet. Klimat, światło, proces, zmianę.

Czytając o Kieferze doszłam do wniosku, że cała jego postać jest potwierdzeniem tej teorii. Patrząc na jego obrazy, widzimy zazwyczaj po prostu ogromne płótna - kolaże - asamblaże, często opatrzone inskrypcjami. Pełne wszystkiego. Od farby, przez nietypowe gotowe przedmioty jak druty kolczaste, słoma, glina, aż do brudu w postaci kurzu i piasku. Aby zrozumieć, na czym właściwie polega jego fenomen, dlaczego stał się jednym z najszerzej znanych niemieckich ar-

tystów naszych czasów, niemalże artystą-celebrytą, musimy dokonać w tym przypadku głębszej analizy, niż sam przekaz wizualny. Emocjonalność jego obrazów polega na ich genezie, a także historii samego autora.

TWOJE ZŁOTE WŁOSY, MAŁGORZATO

W dzisiejszych czasach artyści imponują nie tyle kunsztem malarskim, a umiejętnością przykucia naszej uwagi. Tak jak kiedyś tłum považał rzemieślników, potrafiących dokładnie odwzorować rzeczywistość, mających za narzędzia zaledwie kolor i światło, tak dzisiaj, w dobie fotografii, miliardów pikseli, HQ, HD, 4K i tak dalej, w sztuce szukamy czegoś innego... Dziś, *skillem* jest nie odwzorowywanie rzeczywistości, a odwracanie od niej uwagi tłumowi, zwracanie ich oczu ku uczuciom i emocjom. Prawdziwym, nie tym na szklanych ekranach...

Weźmy na przykład dzieło Kiefiera z 1981 roku *Your golden hair, Margarethe - Your ashen hair, Sulamith*. Zestawienie dwóch podobnych do siebie płócien, przedstawiających mroczne pejzaże wyniszczonego pola. Na pierwszy rzut oka różnią się tyl-



Anselm Kiefer, *Dein goldenes Haar Margarethe, and Dein Aschenes Haar Sulamith*, 1981, *Bad Thoughts* at the Stedelijk Museum Amsterdam / <http://timeimmemorial.tumblr.com>

Aż do nieśmiertelności.



ko kawałkiem złotej słomy umieszczonej na jednym z nich. Kiedy jednak wejdziemy w nie głębiej, dowiemy się, że inspirowane były wierszem *Fuga śmierci* (*Todesfuge*) Celana, a każdy z nich odpowiada jednej z kobiet w nim wspomnianych - złotowłosej Margarethe i Sulamith, o włosach spopielonych. Paul Celan, żydowski poeta rumuńskiego pochodzenia, większość swojej twórczości poświęca własnym przeżyciom z czasów drugiej wojny światowej. Jako jedyny z rodziny przeżył pobyt w obozie koncentracyjnym w Naddniestrzu, gdzie rozstrzelano jego matkę, a ojciec zmarł na tyfus. Zapewne nigdy nie uwolnił się od demonów wojny, zginął bowiem śmiercią samobójczą w 1970 roku w wieku 54 lat.

W *Fudze śmierci*, jak mantra, pojawiają się dwa żeńskie imiona. Wg Andrei Lauterwein (autorki książki *Anselm Kiefer/Paul Celan: Myth, Mourning and Memory*) ich źródłem są dwa klasyczne utwory - *Faust* Goethego i biblijna *Pieśń nad Pieśniami*. Margarethe to Gretchen, wybranka Fausta. Czysta, niewinna, piękna dziewczyna, na którą za pośrednictwem wysłannika diabła spada brzemię miłości do głównego bohatera. Aryjska piękność zaślepiona uczuciem czyni rzeczy straszne. Aby móc spokojnie przyjmować u siebie kochanka truje własną matkę. Jest obojętna na śmierć brata z rąk oblubieńca. W końcu topi własne, nieślubne dziecko, za co zostaje skazana i uwięziona. Opozycją dla Margarethe jest Sulamith o spopielonych włosach. Kochanka Solomona, która podając ukochanemu dłoń przez szparę w drzwiach, chce przekazać mu całe swoje uczucie. Zostaje jednak źle zrozumiana, w wyniku czego łąduje na ulicy, gdzie uznana za prostytutkę jest bita i poniżana.

Biorąc pod uwagę te dwie historie, a także to, że brzmienie imion jest typowe dla poszczególnych nacji, można przypuszczać, że owe kobiety to personifikacje narodów - niemieckiego i żydowskiego. Obie kobiety czeka jednak zaskakujący obrót zdarzeń. Gretchen bowiem, pod ciężarem kary za swe winy przytomnieje z amoku. Odmawia Faustowi, który zamierza uwolnić ją z pomocą Mefistofelesa. Rozumie, że, mimo wcześniejszego przekonania o słuszności swych poczynań, popełniła błąd i chce pozostać w więzieniu i odpokutować za swoje winy. Pojawia się wtedy głos z nieba, zapewne Boży, który określa ją jako ocaloną. Natomiast Sulamith, będąc poniżoną i upokorzoną, zostaje w końcu odnaleziona przez kochanka, który zachwycę się jej urodą i opisuje ją jako „piękność bez skazy”.

Można by tu powiedzieć, że cała siła tych dwóch płócien zawarta jest w wierszu, który je zainspirował, co umniejszać może ich prawdziwej wartości.



Faust et Marguerite (La séduction), Ary Scheffer, 1861. /Wikimedia

Jednak właśnie dzięki tej inspiracji możemy na chwilę przenieść się emocjonalnie w miejsce kogoś, kto wojnę i konflikt pomiędzy Żydem a Niemcem odczuł na własnej skórze. Inspirując się Celanem, Kiefer nadał jego twórczości nowy wymiar, a także nowy zasięg, sprawiając, że jego wizję obozu zobaczą setki, może tysiące ludzi. Ludzi, którzy w innym wypadku prawdopodobnie nie sięgnęliby po jego utwory.

WE NEED TO GO DEEPER

Po co jednak w ogóle cofać się o te 40 lat? Dlaczego temat drugiej wielkiej wojny, jak motyw przewodni, cyklicznie pojawia się w pracach Kiefera? Odpowiedź znajdziemy w jego biografii. Anselm urodził się w Niemczech, 8 marca 1945 roku, na dwa miesiące przed europejskim zakończeniem wojny. Doświadczał więc jej skutków na własnej skórze, nie mając jednak możliwości poznać samego zjawiska wojny. Wyjątkowość takiego położenia opisywana jest w licznych anegdotach, jakoby mały Anselm bawić się miał w zgłiszczach i ruinach budynków. Od dziecka predysponowany do bycia artystą - nawet imię dostał po XIX-wiecznym malarzu Anselmie Feuerbachu. Zmysł estetyczny rozwijał od najmłodszych lat, szkolony w licznych technikach, nie tylko malarzkich, przez ojca. Ojciec - wykładowca sztuk pięk-

Aż do nieśmiertelności.

nych, a zarazem były oficer w Wehrmachcie, stał się inspiracją do jego pierwszego znaniego dzieła zatytułowanego *Occupants* (1969). Była to jego praca dyplomowa w Akademii Sztuk Pięknych w Karlsruhe, gdzie studiował, porzuciwszy wcześniej studia prawnicze. Wywołała ona tak duże kontrowersje, że nikt nie zdecydował się wystawić jej ponownie aż do roku 2008. Jest to seria fotografii, na których sam Kiefer ubrany w mundur ojca wykonuje gest *Hitlergruß* (znany też jako salut rzymski, czy po prostu potocznie *Heil Hitler*) w różnych miejscach Europy. Salutuje na przykład na tle antycznych grobów, amfiteatru, nad brzegiem oceanu, czy na tle górskich pejzaży krajów okupowanych podczas drugiej wojny światowej. Miała to być pewnego rodzaju symulacja identyfikacji ze sprawcami. Praca odrzucona została przez znakomitą większość profesorów akademii, a przez krytyków określona jako „wypędzanie diabła poprzez afirmację”. „Chciałem sprawdzić, czy po faszyzmie sztuka jest w ogóle jeszcze możliwa. Spójrzeć poza fenomen faszyzmu, zobaczyć, co kryje się pod jego powierzchnią, co otchłań faszyzmu znaczy dla mnie. Chciałem sportretować to, co niewyobrażalne, wewnątrz samego siebie”¹. „Chciałem zapytać siebie: czy jestem faszystą? To bardzo poważne pytanie. Nie można na nie odpowiedzieć od razu. To byłoby zbyt proste. Autorytety, duch rywalizacji, poczucie wyższości. To wszystko jest częścią mojej

osobowości, jak i osobowości każdego człowieka”². Przez lata swojej pracy artystycznej Kiefer inspirował się utworami Wagnera, tak jak on czerpie z mitologii germańskiej, zestawiając z nią na przykład motywy biblijne, cyklicznie jednak powraca do tematyki wojny. Jego prace są uznawane za pomniki Holocaustu w Niemczech. Wspomniana wcześniej poezja Celana, staje się mostem, łącznikiem pomiędzy nim - Niemcem znającym historię i skutki, nie znającym jednak samej wojny - a Żydem, będącym bezpośrednią ofiarą Holocaustu. Dzięki niemu Kiefer może nagle przełamać krąg zdegustowania, a zarazem fascynacji socjalistyczną fantasmagorią Holocaustu.

Jego fenomen wydaje się polegać na umiejętności zadawania pytań. Zadaje je sobie, otoczeniu, obrazowi, który akurat tworzy. W licznych wywiadach często wspomina, że najważniejszy jest proces. Staje przed płótnem, nie mając jeszcze w wyobraźni efektu, jaki osiągnie. Proces twórczy jest tu najważniejszy. Skończone dzieła same w sobie są niemal bezwartościowe, choć nie dosłownie, bo rekord sprzedaży jaki osiągnął w 2011 roku za pośrednictwem domu aukcyjnego Christie's obrazem *To the Unknown Painter* (1983), to 3,6 mln dolarów.

Kiefer staje się znany na całym świecie jako przedstawiciel nowego symbolizmu i neoekspresjonizmu za sprawą obwoźnej wystawy w latach 1987-89.



Fig. 4, Fig. 3, Fig. 1, Anselm Kiefer *Occupations (Besetzungen)* 1969 / tate.org.uk

1. Cytat z Ulfa Poschardta: *Anselm Kiefer zamienia salutowanie Hitlera w sztukę*. 1b: *Berliner Morgenpost*. 8 maja 2008 r. Dostęp do 12 kwietnia 2015 r.

2. Wywiad z Anselmem Kieferem, Steven Henry Madoff, W: *Wiadomości ze świata sztuki*. Vol. 86, Nr 8, October 1987.

Aż do nieśmiertelności.



W 1991 roku, po tym jak nie udaje mu się doprowadzić do skutku jednego ze swoich projektów, opuszcza Niemcy. „Opuszczenie kraju jest rodzajem higiemy” - mówi. W trakcie swojej trzyletniej Mal-pause, zajmuje się fotografią i pisaniem, podróżując między innymi do Nepalu, Tajlandii, Chin, Australii czy Meksyku. W 1993 roku osiada we Francji, gdzie kilkakrotnie zmienia miejsce zamieszkania, słynąc z ogromnych pracowni, mierzonych w hektarach. W końcu, ironicznie, jako niemiecki artysta analizujący temat Shoah, zamieszkuje Marais - najbardziej żydowską dzielnicę Paryża. I tak, po długiej drodze od początków działań artystycznych w latach sześćdziesiątych, 16 października 2007 roku, odsłania malowidło ściennie w jednym z najznamienitszych i najczęściej odwiedzanych muzeów świata.

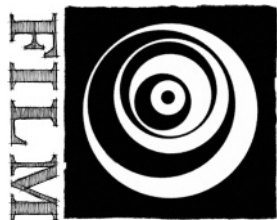
KAMIEŃ FILOZOFÓW

„Wisieć” w Luwrze, to jakby dostać gwarancję na pamięć na długie lata, nawet po śmierci. Szczególnie, że *Athanor* nie tyle wisi, co jest częścią budynku. Otoczony dwiema, również Kiefera, rzeźbami, jest pierwszą permanentną ingerencją w budynek muzeum od 1953 roku, kiedy to Braque pomalował sufit w sali Henryka II. Wysoki na 30 i szeroki na 15 stóp obraz ozdobił korytarz ze schodami łączącymi ekspozycje starożytnego Egiptu i Mezopotamii. Kiefer uważa *Athanora* za swój autoportret. Przedstawienie jest zresztą kwintesencją stwierdzenia, że same obrazy to niewiele w porównaniu z przestrzenią, która je wypełnia. Na samym dole umieścił leżącą postać, z której ucieka „coś”, rozpierchając się na całą wysokość i szerokość obrazu, jak dym. „Coś” przypominające istotę istnienia czy duszę. Czy to śmierć artysty?

„On nie umiera, tylko „łączy się z wszechświatem” - mówi Kiefer. I znów - warto pójść tropem tytułu, bo *Athanor*, to mityczny piec alchemiczny, który miał być używany do przemieniania zwykłych metali w złoto, a także do stworzenia legendarnego kamienia filozoficznego. Typowo dla siebie, używa wyjątkowych materiałów. Tutaj nawet one przywodzą na myśl przemianę alchemiczną. Leżącą, rozkładającą się postać otacza oblana ołowiem ziemia, przywieziona z ówczesnego domu Kiefera w Barjac, na południu Francji. Chmura stopniowo przekształca się w lśniące opiłki srebra, odzyskane z dawnych obrazów artysty, przedstawiających gwieździste niebo, a później w złoto. Aż do nieśmiertelności...



Athanor 2007 Anselm Kiefer, Louvre / flickr.com
Anselm Kiefer, fot. Charles Duprat / timeout.com



Mateusz Lubiewski

Procesy Norymberskie

Ze względu na swój charakter i specyfikę oskarżonych, procesy norymberskie wzbudzały od samego początku, czyli od roku 1945, żywe zainteresowanie. Fascynacja nie ominęła również przemysłu filmowego i sprokurowała go do wytworzenia kilku bardziej znanych i kilkunastu mniej znanych produkcji, traktujących o najważniejszym wydarzeniu w historii współczesnego sądownictwa. Najśłynniejsze są trzy realizacje (dwie amerykańskie i jedna polska), w kolejności chronologicznej: *Wyrok w Norymberdze* (*Judgement at Nuremberg*) Stanleya Kramera z 1961 roku, *Epilog norymberski* Jerzego Antczaka z 1971 roku i przygotowana na mały ekran *Norymberga* (*Nuremberg*) Yves'a Simoneau z 2000 roku. Zainteresowała mnie skrajna inność tych filmów,

przy jednoczesnym zachowaniu wspólnego mianownika, którym (rzecz jasna poza tematem) było ideowe pragnienie zrozumienia - jak możliwe jest tak gigantyczne zło. Czy możliwym, jest by jednostkowy człowiek był, aż tak bardzo zły? Czy może jednak odpowiedzi na pytanie *unde malum* nie powinno się szukać w jednostce, ale gdzieś głębiej w systemie? Najbardziej różnicującym te teksty kultury elementem jest sposób podania. Od razu widać, że twórcy tych dzieł mają zupełnie inne korzenie czasoprzestrzenne i kulturowe, zupełnie inne doświadczenia historyczne, i w konsekwencji podejście do tematu i temu właśnie postanowiłem się przyjrzeć.

NURREWOOD

Zdecydowanie najbardziej bolesny sposób podania zafundował nam Yves Simoneau. Chyba, że ktoś jest skrajnym entuzjastą Alec'a Baldwina lub fanem hollywoodzkich produkcji traktujących o holocauście i zbrodniarzach wojenny - wtedy *Norymberga* jest w porządku. Nie chcę być źle zrozumiany - nie jest to realizacja tragiczna, posiada wiele walorów - jak choćby bardzo ciekawie wykreowanych bohaterów, niemniej gryzie w oczy operomylany sposób opowiadania i parę innych elementów, których ocenę można uznać za preferencyjną. Nie wiem z jakiego powodu pojawia się w filmie Simoneau wątek miłosny, nie wiem czy Robert Jackson grany przez Baldwina musi mówić jak trener motywacyjny z popularnego kanału na youtube lub jak Barack Obama w trakcie przemówienia inauguracyjnego kadencję prezydencką. Tak samo nie przekonuje mnie ordynarna wręcz muzyka przeklejona z jakiegoś gotowca, trącająca sacrokiczowym patosem. To mocno wpływa na komfort obcowania z tą produkcją. Mimo to, ten mocny makijaż filmowy na trudnym i grząskim gruncie tematycznym daje również interesujące efekty, choć do nich mam stosunek nie w pełni pozytywny. Świetna rola Briana Coxa sprawia, że jakiemuś niebezpiecznemu zmityzowaniu ulega postać Hermanna Göringa. Wydaje mi się, że aż za bardzo pozytywne uczucia wzbudzał czarujący intelektualista z, bądźmy szczerzy, ciemną jak smoła przeszłością. *Norymberga* nie jest superprodukcją w stylu *Szeregowca Ryan'a*, jednak posiada dokładnie te same wady, co film Spielberga. Model hollywoodzki zbyt się gryzie z tego typu tematyką, takie moje zdanie.

kadry z filmu *Norymberga* (2000)

procesy Norymberskie - fotografia

Procesy Norymberskie



DRAMATYŚADOWY

Zupełnie innych wrażeń dostarcza, zaliczany do klasyki gatunku dramatu sądowego *Wyrok w Norymberdze*. Twórcy tego filmu zastosowali odważną taktykę uniwersalizacji tematu - z ławy oskarżonych usunęli postacie historyczne. Zabieg brawurowy. Prawdziwych nazistów zastąpili bohaterami fikcyjnymi, acz doskonale wplecionymi w kontekst. Całość dopełniona jest innym *à rebours* - postawionymi przed trybunałem bohaterami są hitlerowscy sędziowie, odpowiedzialni za wydolność aparatu terroru. Wśród nich centralną postacią jest wybitny prawnik i etyk dr Ernst Janning, który w trakcie procesu uświadamia sobie ogrom potworności jakiej pozwolił wejść w głąb siebie. Broni go młody, energiczny Hans Rolfe (gra go Maximilian Schell, nagrodzony zresztą za tę kreację Oskarem), którego wulkaniczne passusy podważają bezwzględność racji aliantów. Linia obrony Rolfe opiera się o dysonans pomiędzy jednostkami, a społeczeństwem. Nie można osądzić całego narodu niemieckiego za szaleństwa jego elit. Tutaj, dla dodatkowego efektu, wtrącone do fabuły zostały historie zwykłych Niemców, którzy ucierpieli w trakcie nazistowskich rządów, co miało spowodować wyszarzenie czarnobiałego podziału na jedyne sprawiedliwych i bezwzględnie złych. *Wyrok w Norymberdze* nie aspirował do rangi fabularyzowanego dokumentu, stał się raczej traktatem na temat relatywności etyki. Nawiasem mówiąc bardzo udanym. Zdecydowanie mniej tu "amerykańskiej" narracji niż w *Norymberdze*, a na pewno jest ona mniej narzucająca się, choć wciąż wyczuwalna. Tak czy inaczej jest to rzecz absolutnie wybitna.

EPILOG NORYMBERSKI

Polski *Epilog norymberski* to znowu forma niekino-wa i to już jest pierwsza ciekawa rzecz. Zrealizowała go instytucja *Teatru Telewizji*, która od 1953 roku zajmowała się tego typu przedsięwzięciami w Polsce. Gatunkowo określono tą formę mianem teatru faktu. Sam Jerzy Antczak, reżyser, opisuje to zjawisko bardzo konkretnie: "Teatr faktu nie wkracza w rejony reportażu, nie jest także filmem dokumentalnym. Punktem wyjścia takiego przedstawienia staje się jakieś zdarzenie autentyczne. Zadanie inscenizatora polega tu na właściwym przeprowadzeniu tezy-powodu, dla którego zainteresował się tym właśnie zagadnieniem." Przez cały czas trwania spektaklu/filmu różne informacje są dopowiadane przez Karola Małcużyńskiego, który na procesie no-



Wyrok w norymberdze (1961), reż. Stanley Kramer



Epilog norymberski (1970), reż. Jerzy Antczak

rymberskim był korespondentem prasy polskiej. Wprowadzenie takiej postaci do filmu jest o tyle ciekawe, że wyraźnie wpływa ona na kierunek akcji i jej kształt formalny. Scenariusz powstał na podstawie stenogramów z procesu oraz wydanego w 1962 roku zbioru wspomnień i dokumentów członków polskiej delegacji na proces – *Przed trybunałem świata* Tadeusza Cypriana i Jerzego Sawickiego. Jednak najbardziej zapada w pamięć rola Andrzeja Łapickiego, który wciela się w rolę prokuratora Jacksona i jednocześnie pełni funkcję narratora. Jest on postacią centralną dla akcji spektaklu, regulującą jej tempo. Postać Jacksona najbardziej przypomina jej odpowiednik z *Norymbergii*. Pozostali bohaterowie przedstawiają się zgoła odmiennie. Chociażby tak ważny w filmie Simoneau Hermann Göring, grany tutaj przez Mieczysława Pawlikowskiego, nie jest eleganckim gentlemanem, a sfrustrowanym egocentrykiem. Również nacisk na fizyczne podobieństwo z nazistami jest znacznie mniejszy, punkt ciężkości przeniesiony jest na koherencję psychologiczną. Produkcja polska jest dużo bardziej surowa, przez co też bardziej elegancka. Ze względu na teatralny charakter jest pozbawiona również muzyki, co zauważa się dopiero przy napisach końcowych. W kwestii "sposobu podania" prezentuje się zdecydowanie korzystniej.



Dariusz Bednarczyk

365 godzin śledztwa nadinspektora Borewicza

Nadinspektor ziewnął. Kiwając na krześle, celował kulkami zmiętego papieru do drukarki w stronę stojącego naprzeciwko biurka kosza na śmieci. Od kilku dni nie miał na składzie żadnej obiecującej sprawy. „Nuda, nuda, aaa”. Czas jaki musiał przemęczyć w komendzie spędzał w różnoraki sposób. Przedwczoraj próbował ujarzmić nową sekretarkę szefa, lecz spotkał z upokarzającą odmową, cóż, glaca przecież przerzedzona, a stare grepsy nie zawsze działają. Wczoraj wydzwaniał do wszystkich znajomych pielęgniarek, kelnerów, recepcjonistek, lekarek, stewardes, przedszkolank, nauczycielek, kosmetyczek i wizażystek, lecz całkowicie bez skutku. O tym, co robił dzisiaj, dobitnie świadczyły stosy papierowych kulek. „Nuuuda, nuda, nuda”. Przywołał z pamięci najbardziej spektakularne śledztwa: Sprawa Matyska, Przypadek Dżanandy, ten cwaniaczek Znikomek, ostatni przypadek Dziejby Leśnej, ech, choćby zagadka dwunastu braci, a pamiętna bitwa pod melinowym chruśniakiem? „Nuda, aaaa, to jest nuda”. Wtem dobiegły go kroki z korytarza. Wraz z łoskotem otwieranych drzwi ujrzał czerwoną i błyszczącą

potem twarz swojego zastępcy, inspektora Burewicz. Nie mogąc wydobyć z ust żadnego dźwięku, zatrzymał w progu, łapczywie łapiąc powietrze, by w końcu...

W najnowszym numerze Złotego Wieku - Gazety Seniora już od drugiej strony atakują nas reklamy. Wiadomo, z czegoś przecież tytuł trzeba utrzymać. Na początek, jak u Hitchcocka, mocne tąpnięcie: „HADES - Twój Zakład Pogrzebowy”. Potem napięcie już tylko rośnie. Strona trzecia to „Twoja Apteka” oraz sieć domów spokojnej starości „Matuzalem”. Na następnej witają sklepy sprzętu rehabilitacyjnego „Wszystkie Twoje Laski”. Dołem numery kontaktowe autoryzowanych wykonawców masek pośmiertnych. Strona czwarta to prezentacja najnowszego poradnika „Jak pisać testament”. Na piątą swoje nadzwyczajne oferty przedstawiają renomowani geriatrzy. Dalej norma. Pieluchomajty, wózki inwalidzkie, chodziki oraz obuwie ortopedyczne. Dziesiąta i jedenasta - psalmy z najnowszego śpiewnika funeralnego. Kolejne dwie stanowią do-



365 godzin sledztwa...



menę „Kliniki Osteoporozy i Menopauzy”. Jest też coś dla panów - wczasy połączone z kuracją: „Zapomnij o prostacie”! W listopadzie nadzwyczajne upusty. Na czternastej kremacja. Urna oczywiście gratis. Nadinspektorowi z szybkością halnego przeleciało przez głowę straszne podejrzenie - czyżby to była owa sławetna zemsta Sidi Numana? Niedoczekanie - pomyślał, by w końcu...

Zamglony wieczór. Śliskie ulice miasta, a raczej wyślizgane. Przez skrzyżowanie przechodzi staruszka o lasce. Pewnie była na roratach. Właśnie znajduje się na środku przejścia dla pieszych. Nagle zza zakrętu, z piskiem dawno pozbawionych bieżnika opon, wyskoczył rozpędzony Fiat 125 małe „p”. Wjeżdżając wprost na środek ulicy, potrącił pieszą, która gruchnęła o asfalt niczym bezwładna kukła. W niejaką chwilę po tym z trzaskiem opadła na pół złamana laska. Fiacik pomknął dalej.

„Zabójca” - pomyślał siedzący za kierownicą białego, nieco podrasowanego poloneza przystojny, młody mężczyzna w czarnych rękawiczkach. Natychmiast rzucił się oczywiście w pościg, ze zgrzytem skrzyni zmiany biegów ruszając z zajmowanego posterunku. Dwa samochody mknęły przez mrużące już oczy, zmęczone miasto. W kanionach opustoszałych o tej

porze ulicjęczały na zmianę katowane hamulce oraz cylindry. Pościg. Ucieczka. Riff silników, wizg opon, benzynowy wiatr. Fiat uciekał, rozpaczliwie nadrabiając na wirażach, lecz szybki, prowadzony wprawą ręką polonez nieubłaganie zmniejszał dystans. Pojazdy opuściły już centrum, mimo to wciąż tkwiły na haku skrzyżowań świetlnych. Oczywiście ta bezprzykładna gonitwa nie uszła uwadze wozom patrolowym MO. Dwa niebieskie milicyjne fiaty, skrzęta sygnałami alarmowymi, pomknęły wólcząc za sobą omdlewające syreny.

W pewnym momencie uciekający pojazd zahaczył o krawężnik, po czym odbił w prawo z rozpędem uderzając w mur. Lebiega. Kierowca natychmiast wyskoczył, próbując kontynuować ucieczkę per pedes, jednak silne ręce w rękawiczkach wprawnie dokonały zatrzymania. Gleba! Podbiegli regulaminowo umundurowani milicjanci.

- Pomóc? - padło normalne w takich sytuacjach.

- Nie trzeba! - zarepetował mężczyzna w rękawiczkach, legitymując się jednocześnie resortowym dokumentem tożsamości - Zabierzcie go na Mostowskich.

Ta, wzrok mimo woli spoczął na galerii zdobiących ścianę dyplomów, by w końcu... Ujrzał to, czego obawiał się bodaj najbardziej. Ogromne, zwaliste fale przewalały przez pokład z ogłuszającym hukiem.



365 godzin sledztwa...



Żagle, a raczej ich jakże żałosne resztki, zwisały beładnie z rei, wszystkie przedmioty niedostatecznie zabezpieczone poznikały, jakby poderwane jakąś niesłychanie bezlitosną, acz nieuniknioną potęgą. Strzaskane szalupy jęczały uwiecznione w blokach, żywioł, łupiąc stalowymi bryzgami, a powietrze przesączone mikronowymi cząsteczkami wody. Sięgnął w stronę stolika, niechcący obalając postumenty pustych flaszek by w końcu...

Podstawa to dobre rozeznanie. Raporty z pracy operacyjnej, sprawozdania tajnych współpracowników, cynki, itp. Trzeba mieć obeznanie w terenie, miejscowych zwyczajach, no i oczywiście znać kalendarz imprez, wiadomo: wesela, chrzciny, komunie, taki większy metraż. A czasami po prostu jedzie się na czuja. Zadrzewienia śródpolne, porzucone domostwa, jary, jednak głównie obszary leśne. Przy wyjeździe w ciemno ważna jest znajomość terenu. Jedziesz, zatrzymujesz i niuchasz. Bo wiadomo, kiedy zacier zaczyna buchać jak, nie przymierzając islandzkie geizery, drzące opary okazują się nadzwyczaj hojne, wokół rozchodzi cudowny arom... no, capina kilometr! Po dokonaniu lokalizacji, brygada z wozu. Otaczamy cały teren, żeby myśz nie wyslizgła i wtedy robimy im kipsisz. Bańki, wanienki i kadzie do gleby, ile to surowca się zmarnuje, bo wiadomo, że wszyscy pędzą na 1410. Jedna część drożdży, cztery cukru i dziesięć wody. Aparaturę w drobny mak, a całą załogę meliny w bransolety i na komisarjat. Ale nie zawsze jest tak łatwo, czasami to mamy prawdziwy Grunwald, ilu to chłopaków poszło w gips. Jak już poprobują pierwszą filtrację, to nawet z siekierami na nas, nic a nic nie boją. Ale to walka z wiatrakami, u nich to z ojca na syna, normalnie część tradycji, by w końcu...

Głuchoniema zniknęła w niedzielę. Nikt nie znał imienia i nazwiska, nikt nie wiedział skąd przyszła, a szczerze mówiąc nikogo to nie interesowało. Sądząc po spracowanych dłoniach można było jedynie domniemywać, iż pochodziła ze wsi. Co wieczór pielgrzymowała ku rzece, jakby snem somnambulika nękana. Pochwycić mówiące alter ego w głębinie? Złować sen własnego głosu? Odnaleźć strunę? Kiedy tak szła, na powitanie nurtów wyciągając obie dłonie, ludzie przerywali wszelką krzątanie na znak, że czas zasiadać przy kolacji. Rytuał ten na stałe wszedł do świadomości i słownictwa mieszkańców wioski, stąd wieść o jej zniknięciu natychmiast rozniosła po wszystkich gospodarstwach. Dość szybko powiązano jej zniknięcie ze wzbudzającą od jakiegoś czasu powszechny niepokój złowieszcą sektą satanistów. Już dwukrotnie znajdowano w lasach pokryte pentagramami nagie ciała młodych kobiet. Śledztwo ruszyło z impetem. Sprawdzony aż z komendy wojewódzkiej pies podjął trop na wałach. Niestety, z polecenia komendanta, pięciokrotnie musiano przerywać czynności, albowiem za niewiarygodny uznano wariant wynikający z działań bezmyślnego przecież czworonoga. Dopiero wzbudzona medialnymi doniesieniami interwencja z centrali, spowodowała podjęcie porzuconego wątku poszukiwań i ponownie użyto psa, by w końcu...

dy zacier zaczyna buchać jak, nie przymierzając, islandzkie geizery, drzące opary okazują się nadzwyczaj hojne, wokół rozchodzi cudowny arom... no, capina kilometr! Po dokonaniu lokalizacji, brygada z wozu. Otaczamy cały teren, żeby myśz nie wyslizgła i wtedy robimy im kipsisz. Bańki, wanienki i kadzie do gleby, ile to surowca się zmarnuje, bo wiadomo, że wszyscy pędzą na 1410. Jedna część drożdży, cztery cukru i dziesięć wody. Aparaturę w drobny mak, a całą załogę meliny w bransolety i na komisarjat. Ale nie zawsze jest tak łatwo, czasami to mamy prawdziwy Grunwald, ilu to chłopaków poszło w gips. Jak już poprobują pierwszą filtrację, to nawet z siekierami na nas, nic a nic nie boją. Ale to walka z wiatrakami, u nich to z ojca na syna, normalnie część tradycji, by w końcu...

Głuchoniema zniknęła w niedzielę. Nikt nie znał imienia i nazwiska, nikt nie wiedział skąd przyszła, a szczerze mówiąc nikogo to nie interesowało. Sądząc po spracowanych dłoniach można było jedynie domniemywać, iż pochodziła ze wsi.

Co wieczór pielgrzymowała ku rzece, jakby snem somnambulika nękana. Pochwycić mówiące alter ego w głębinie? Złować sen własnego głosu? Odnaleźć strunę? Kiedy tak szła, na powitanie nurtów wyciągając obie dłonie, ludzie przerywali wszelką krzątanie na znak, że czas zasiadać przy kolacji. Rytuał ten na stałe wszedł do świadomości i słownictwa mieszkańców wioski, stąd wieść o jej zniknięciu natychmiast rozniosła po wszystkich gospodarstwach. Dość szybko powiązano jej zniknięcie ze wzbudzającą od jakiegoś czasu powszechny niepokój złowieszcą sektą satanistów. Już dwukrotnie znajdowano w lasach pokryte pentagramami nagie ciała młodych kobiet. Śledztwo ruszyło z impetem. Sprawdzony aż z komendy wojewódzkiej pies podjął trop na wałach. Niestety, z polecenia komendanta, pięciokrotnie musiano przerywać czynności, albowiem za niewiarygodny uznano wariant wynikający z działań bezmyślnego przecież czworonoga. Dopiero wzbudzona medialnymi doniesieniami interwencja z centrali, spowodowała podjęcie porzuconego wątku poszukiwań i ponownie użyto psa, by w końcu...

Kiedy zeszedłszy do krypty, od razu go rozpoznałem, bo jakżeby inaczej. Stał tyłem do nas nad ciałem skrupowanej głuchoniemej, w obu dłoniach trzymając wysoko uniesiony kielich mszalny. Podczas krótkiej szamotaniny strącono zeszyt leżący tuż przed korpusiem uprowadzonej. Podnosząc, chcąc nie chcąc przeczytałem więc parę zdań: „O Mistrzu ►





zgrzytów i chrzęstów, który pieśń czyni/ Już bucha płomień, tęcza witraży/ Oto dłoń pomału w rozblaski/ Aż po kielich krwi ofiary// Dziś spełniam daninę Tobą pijany/ Za wszystkich żądz na czaty skazany/ I za tych którym nie dostało spamu/ Za całą społeczność ten toast świętokradzki//"

- Kaftan to za mało - pomyślałem, wsuwając cienki brulion do foliowego woreczka, by w końcu...

Błyszczniński wywodził się z Wymrocza, a to zakapiorska dzielnica. Policja oraz prokuratura jawnie okazywały swoją fasadowość, nieoficjalnie zaś tworząc układ powiązań przerozrastających całą dzielnię. Rozsądni starali nie wychylać. Od zawsze Wymrocze tradycyjnie robiło w mokrej robocie. Aquapark, strażackie remizy, oczyszczalnia ścieków, wodociągi - cała ta infrastruktura tradycyjnie znajdowała się w rękach ludzi z dzielnicy. Zwłaszcza Topielec Sp. z o.o. To była tajemnica poliszynela.

Zdolniacha. Studia prawnicze, asesura, do tego wygadany i dobrze wyglądający. Z radnego szybko wywindował w górę. Pół miasta głosowało na niego

w wyborach parlamentarnych. Przecież swój chłopak. Na tej fali popularności z wielkim impetem przystąpił do wyborów na drugą kadencję. Cały okręg wyborczy dosłownie tonął w plakatach i ulotkach. Slogany, reklama, propaganda sukcesu, socjotechnika - potrafił doskonale wykorzystywać zdobycze pijaru. Ze wzruszeniem spoglądał na dzielnicę jako właściciel wszystkich billboardów, rycząco stając najlepiej rozpoznawaną postacią w całym okręgu. Ileż to podjął cennych inicjatyw, przyczynił do rozbudowy sieci ścieżek rowerowych, placów rekreacyjnych. Porozkwiecał budowy tak bardzo potrzebnych, nowoczesnych i funkcjonalnych budynków socjalnych. Do największych osiągnięć z pewnością jednak należała budowa imponującego stadionu. Mierzył naprawdę wysoko.

Któregoś dnia z hukiem wybuchła burza medialna i nie stało głosów obrony. Sondaże błyskawicznie zleciały na fęb, na szyję, a dawni mocodawcy chyłkiem wycofali. Wszystkie przetargi na podjęte inwestycje okazały ustawione, zaś reprezentacyjny

Dariusz Jacek Bednarczyk

ur. w Jeleniej Górze. Absolwent Wydz. Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Mgr administracji. Parokrotnie wyróżniony w ogólnopolskich konkursach literackich. Próby publikacji zasadniczo od 2010. Dotychczasowe publikacje zarówno w sferze poetyckiej jak i prozatorskiej m. in.: Protokół kulturalny, Fabularie, Poezja dzisiaj, Migotania, Kultura Connect Magazine (Australia), Inter-, Częstochoński Magazyn Literacki Galeria, Dworzec Wschodni, Menażeria- toruński magazyn kulturalny, Akant, Mole, Kozirynek, Magazyn literacki aha! (Kanada). Tłumaczony na angielski oraz rosyjski.

365 godzin sledztwa...



stadion stanowił przykrywą zaiste spektakularnej pralni. Próbował co prawda odgryzać, jeszcze go zapraszano do telewizji i do niektórych rozgłośni radiowych, jednakże gwoździem do trumny okazało fałszowanie głosów. Doliczono stu tysięcy! Tak prysły marzenia posła Błyszczynskiego o karnawale drugiej kadencji, by w końcu...

- DJ już zapodawał bity, a chłopaki jak zwykle pili na zewnątrz, kiedy usłyszałem głośny zgrzyt. Reflektor upadł mi pod nogi. Zły omen, pomyślałem wówczas panie nadinspektorze - (ech, stare, dobre czasy) powiedział Krzysztof Wepsieńc, niegdyś kierownik wiejskiego klubu, były kadrowiec GS-u, właściciel warzywniaka w Sobieszowie, z wykształcenia fizyk cybernetyk, pechowiec oraz życiowy rozbitek, jak sam o sobie mówi.

- To ja wpadłem na pomysł, aby nieczynną fermę nutrii, nie zważając na konotacje, przerobić na klub i kasyno, regionalny substytut Las Vegas. Stąd ta nazwa - „Substytut u Krzyśka” w skrócie Subs. uK, bo w angielskim lepiej brzmi.

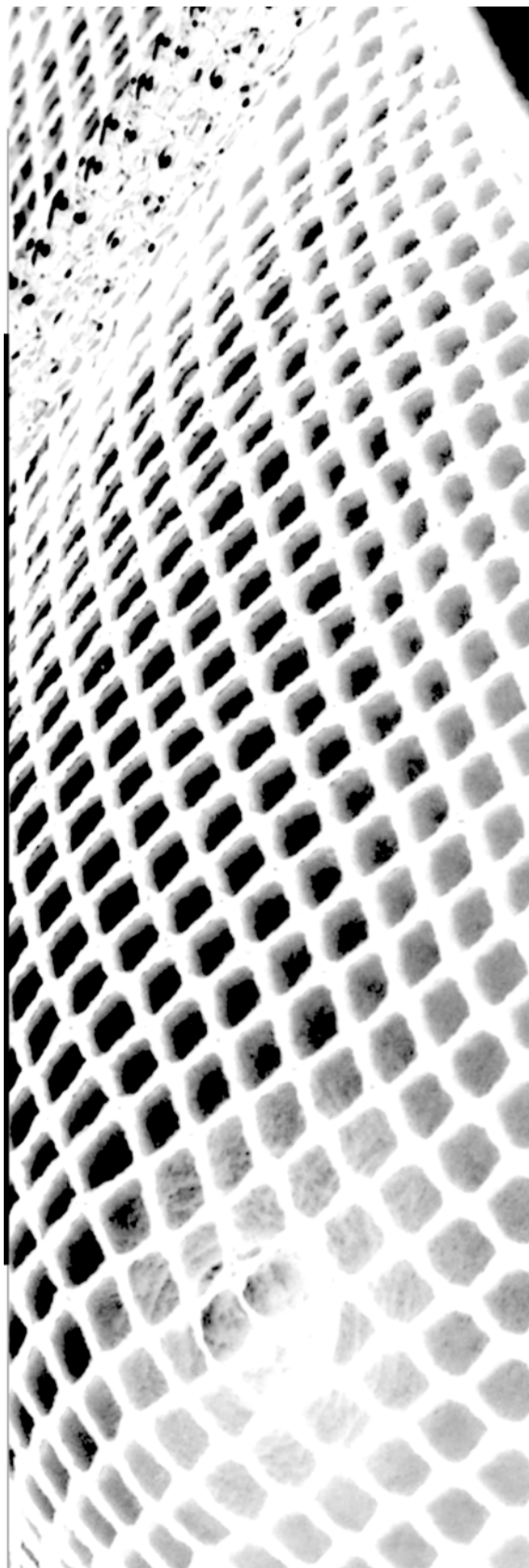
Czasem zaglądała kisielowa rewia, striptiz albo kabaret, ale główne źródło dochodów stanowiły oczywiście dyskoteka oraz automaty i quasi-ruletka.

Tamtego dnia, kiedy w sześć traktorów zajechali chłopaki z drugiego brzegu, ogarnął mnie dziwny chłód. Zaczęło się, gdy jeden z przyjezdnych, całkiem szczupły jeszcze, zastawił ojcowiznę łącznie z zabytkowym rozkultywatorem. Kiedy krupier rutynowo, zgodnie z procedurą, zażądał kluczyków od ciągnika, ten karakan przy aplauzie brechtających kumpli wyjął sekator, a następnie obciął mu nowiutkie szelki. W tym momencie strach zajrzał mi w oczy. Krupier, chłop na schwał, trzymaną na podorędziu kłonicą, zrobił łobuzowi rolmopsa z fejsu, po czym ruszył na tamtych, niczym ruski lodołamacz atomowy. Rozgorzała bitwa, bo po jego stronie stanęły nasze chłopcy, a wszystkie siedziały przeciw w klubie. Bezradny posterunkowy wezwał na pomoc pobliski garnizon, lecz przyjechała jedynie straż miejska, która zaraz uciekła, jak to zwykle oni, jeśli można oberwać.

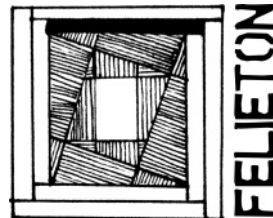
Póki nie spadłem, wszystko obserwowałem ze strychu, ale na nieszczęście odbiłem sobie nerki i teraz czeka mnie operacja.

W dodatku ktoś podłączył elektrodę i spalił cały klub, a mnie oskarżyli o podpalenie! Co za paradoks! Chciałem tylko doczekać emerytury, zaś teraz co, nie dość, że mnie zamkli, to gospodyni podała o alimenty! Ech, może chociaż obejmnie mnie amnestia, by w końcu... zasmakować przełamania w okrzyku: Gdzie, do kurwy nędzy, jest moja szklanka?!!!

- Spytaj policjanta, on ci prawdę powie! - flegmatycznie odpowiedział nadinspektor.



Katarzyna Stępień

„Nie rodzimy się kobietami,
stajemy się nimi”*

Kolejny dzień jak codzień. Wsiadam z pociągu, przy czym jak zawsze mijam dziesiątki anonimowych twarzy. Kobiety i mężczyźni spieszących do swoich obowiązków. Poza irytacją, że znowu jest zimno i ciemno, że resztkę kawy chlupocze smutno na dnie zielonego, papierowego kubeczka, że właśnie odjechał mi autobus i spóźnię się na wykłady, pojawia się jeszcze jedno „ale”

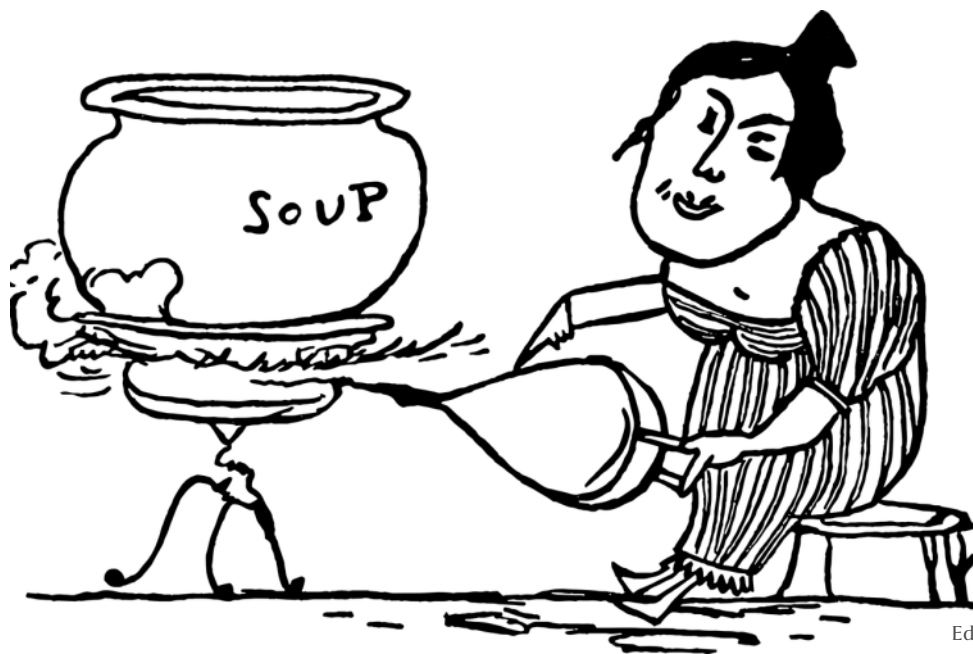
CO TAK PÓŹNO?

Masa podróżujących porannymi pociągami to mężczyźni, którzy potulnie porzucili swoją rolę samca alfa. Na włosy nałożyli pół kilograma żelu, w ciągu ostatnich trzech dni odwiedzili solarium i zrobili sobie manicure. Do tego obowiązkowo szminka ochronna i intensywny zapach drogich perfum. Jednak czy to źle? Jak pisał Mrozek: „Nie lubię męskości... Określenie „zniewieściały” jest w gruncie rzeczy określeniem pochlebnym. Oznacza ono, że dany osobnik często się myje, nie lubi zabijać ludzi, zdolny jest do współczucia, nie lubi wrzeszczeć i pchać się, żeby udowodnić swoją ważność.” Gwoli wyjaśnienia: jako feministkę powinno mnie cieszyć to, że mężczyźni oddali nam garnitury, miej-

sce na piedestale i... wolność. Jednak właśnie fakt, że musiałyśmy to sobie wywalczyć doprowadza mnie do irytacji. Nagle przestałyśmy być „produktem wybrakowanym”, a upodabnianie się do kobiet stało się modne?

STAROŻYTNOŚĆ

Świat zawsze zdawał się miejscem przeznaczonym wyłącznie dla mężczyzn. Aż do pojawienia się pierwszej fali feminizmu w XIX wieku, nikomu nie przeszło nawet przez myśl, że może być inaczej. W starożytnej Grecji kobieta była postrzegana jako istota naiwna, niedopracowana. Arystoteles z dumą głosił swój (a też i innych obywateli) pogląd: „kobieta to nieudany mężczyzna”. Ponadto wszystko co złe, zawsze było przypisywane kobietom - w końcu kto otworzył puszkę Pandory? Kto skusił Parysa i wywołał Wojnę Trojańską? Kobiety zostały przypisane kilku prostym hasłom: posłuszeństwu, małżeństwu, domowi, zaspokajaniu mężczyzn, wychowaniu dzieci. Świat sztuki był dla kobiet zamknięty, tak jak i edukacja. Choć może łatwiej sformułować to tak, że świat był zamknięty dla kobiet. Wyjątek stanowiła Sparta, gdzie kobiety podczas nieobecności męża, miały prawo (o zgrozo) wychodzić z domu!



Edward Lear

*Druga płeć - Simone de Beauvoir, francuska pisarka i feministka

„Nie rodzimy się kobietami...



CZASY KSIĘŻNICZEK?

Średniowiecze powszechnie nazywa się wiekiem „ciemnym”. Niestety jedyna „jasno” wówczas określona kwestia, posiadająca swe sztywne granice, to właśnie rola kobiet. Nasza rola ograniczała się do posłuszeństwa, pracy w gospodarstwie (często to kobieta, jako istota „byle jaka” była zmuszana ciągnąć pług) i przede wszystkim rodzenia dzieci. Kobiety lepiej usytuowane miały za obowiązek „jedynie” rodzić, najlepiej osobniki płci męskiej oczywiście. Miłość istniała nawet w średniowieczu, choć była skrzętnie chowana przed ciekawskimi spojrzeniami. Seks i namiętność stanowiły, za sprawą ingerencji Kościoła, temat tabu. W wyższych warstwach społecznych nikt nie liczył się z głosem kobiet. Rządził nimi na początku ojciec lub brat, a potem wybrany przez tych pierwszych mąż. Istotnym elementem średniowiecznych realiów był też oczywiście pierwiastek religijny. Św. Tomasz z Akwinu głosił na przykład, że kobieta powinna być podporządkowana mężczyźnie w ramach kary,

że w końcu to przez nią pojawił się grzech pierworodny. Ponadto, z tego samego powodu, jest mniej rozwinięta intelektualnie od mężczyzny, który nigdy sam z siebie by do grzechu nie dopuścił. W takiej sytuacji małżonek był przedstawiany jako opiekun żony, wobec czego mógł zrobić z nią wszystko o czym tylko pomyślał. Niestety bardzo często oznaczało to po prostu bicie żon, co Kościół ochoczo popierał. Pojawiały się, w jego ogromnej dobroci, jedynie drobne napomknienia mężów, aby postarali się nie łamać kończyn swoich lubych. Zdarzały się jednak sytuacje kiedy małżonek w rozpędzie zaatakował kobietę na śmierć - wtedy zobowiązany był do zapłacenia grzywny (oczywiście tylko jeśli incydent nastąpił bez przyczyny). Czy tylko mi przypomina to Kodeks Hammurabiego i relację obywatel-niewolnik? W ostatecznym rozrachunku średniowiecze, choć złe dla kobiety, stanowiło mikroskopijny krok naprzód. Mężczyźni zaczęli dostrzegać (alleluja!), że jeśli kobieta może zastąpić na roli woła, wieczorem sprawić im przyjemność (oczywiście będąc gwałconą do nieprzytomności), jednocześnie wychowywać jeszcze piątkę dziatwy, to może nie jest taka zła.

(ANTY)-RENEANS

XVI wiek określany jako epoka odrodzenia, stanowił paradoksalnie epokę upadku. Upadku pozycji kobiet. Jeśli w ogóle można niżej upaść. Renesans skupiał się głównie na powrocie do korzeni, na sztuce i kulturze starożytności. Wróciło też niestety antyczne spojrzenie na kobiety, obraźliwe stereotypy i „światło” tezy na temat płci żeńskiej. Najgorętszym tematem rozmów stała się teoria „czy kobiety są ludźmi”? I o dziwo, nie brakowało głosów, że jednak nie. Ostatecznie ustalono, że tak, jesteśmy gatunkiem ludzkim, ale wybrakowanym, ponieważ nasze jądra znajdują się wewnątrz ciała. Popularne wśród intelektualnych elit było też przedstawianie macicy jako niezależnego potwora żyjącego w ciele kobiety, który to odpowiada za nastroje nosicielki. W tych czasach upadał feudalizm, a z popiołów państwowego ustroju rodził się absolutyzm. Zaczęto rozszerzać kontrolę państwa nad indywidualną jednostką. Kobieta została wręcz przyspawana do mężczyzny.

Ponadto szerzyła się „kultura” tępienia czarownic. Prześladowano przede wszystkim wdowy, kobiety samotne, znachorki i akuszerki. W *Malleus Maleficarum*, czyli podręczniku tępienia czarownic popularnym od XV do XVII wieku, roztrząsano ten problem na każdy możliwy sposób. Głoszo-



„Nie rodzimy się kobietami...



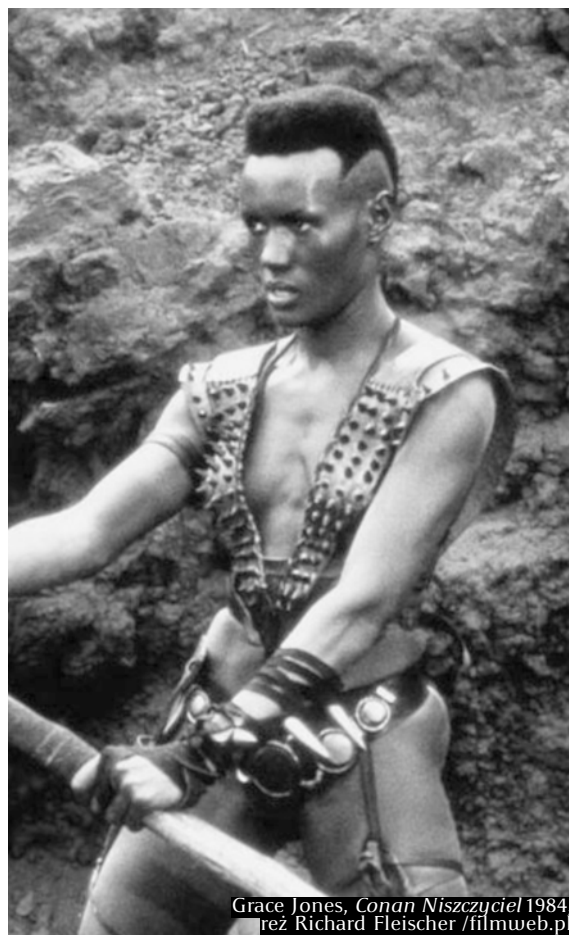
no pogląd jakoby kobiety, tylko ze względu na swoją płeć, stanowią zaprzeczenie boskiej mocy i prowadzą jedynie do rozpadu ładu społecznego. Były uważane za nosicielki grzechu rozpusty, przez co biedni i bezbronnii mężczyźni byli wystawieni na utratę zdrowego rozsądku i miłosne szaleństwa (tacy chyba i tak nie istnieją). Jak pisała Katarzyna Nosowska „Kobieta jest organizmem ultradoskonałym. Potrafi się regenerować po ekstremalnie ciężkich doświadczeniach. Przetrwa wszystko”. Rekordistką przetrwania jest Maria Hollz Nördlingen, która torturom została poddana aż 56 razy (takim jak wyłamywanie kończyn, polewanie nagiego ciała rozpaloną smołą) i wytrzymała ból, nie przyznając się do winy. Zmarła dopiero na skutek dżumy w 1634.

PRZEBIEGUNOWANIE

Pierwszy raz, kiedy to kobieta została potraktowana na równi z mężczyzną, miał miejsce w 1793 roku podczas rewolucji francuskiej. Wtedy to zarówno Ludwik XVI jak i jego małżonka, Maria Antonina, zostali zgilotynowani. Jak pisała osiemnastowieczna działaczka na rzecz kobiet, Olimpia de Gouges, „Jeśli kobiety mają prawo wstępowania na szafot, to powinny też mieć prawo wstępowania na trybunę polityczną”. Ostatecznie jednak rewolucja pozostała domeną mężczyzn, jednak ich bańka bezpieczeństwa została naruszona. Hasłami rewolucji były przecież „wolność, równość, braterstwo”. Otworzyło to kobietom drogę do dociekania swoich praw.

Kolejną przełomową datą okazał się 1903 roku, kiedy w Wielkiej Brytanii powstała organizacja Women's Social and Political Union. Sufrażystki, bo tak nazywano kobiety walczące o swoje prawa pozyskały w różnym stopniu prawo wyborcze, możliwość studiowania na uczelniach wyższych, rozwodu, zarządzania majątkiem a nawet płatnego urlopu.

Sytuację kobiet jako ludzi ukorzeniła I wojna światowa. Kiedy mężczyźni ruszyli na front, kobiety, niczym w starożytnej Sparcie, zajęły ich miejsca pracy. Zajmowały się produkcją naboju, karabinów i haubic. O zakończeniu wojny nie decydowały jedynie taktyka i siła, a też wytrzymałość i zdolność zaopatrzenia armii przez cztery lata. Triumfowałyśmy na wszystkich „frontach” - dom, uniwersytet, praca. Pręźnie działała przez cały czas walka kobiet o poszerzenie wolności osobistej. W latach 1939-1945 kobiety znów wróciły do fabryk poświęcając się pracy na rzecz narodu. I nagle, po zakończeniu II wojny światowej, nikt już nie kwestionował



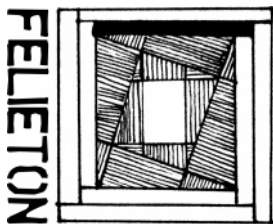
Grace Jones, *Conan Niszczyciel* 1984, reż. Richard Fleischer /filmweb.pl

miejsca kobiet jako pełnoprawnych obywaterek. Jeśli ktoś potrafi skrócić czołg, to da sobie chyba radę przy oddawaniu głosu wyborczego.

HISTORIA LUBI SIĘ POWTARZAĆ

Mówi się, że historię piszą zwycięzcy, tylko nie da się ukryć, że pojawiały się też kobiety. I to jakie, skoro potrafiły zmienić bieg historii. Nie bez powodu na lekcjach uczymy się o Kleopatrze, Dziewicy Orleańskiej czy Izabeli Kastylijskiej.

Temat feminizmu i roli kobiet w społeczeństwie nie jest czymś, co nagle wyciągnęłam z szafy. Jest o tym głośno i to nie bez powodu. Jeśli to grupa podstarzałych panów ma decydować o tym, co dzieje się z naszymi ciałami, wymagać porodów, zabraniać dostępu do antykoncepcji, to czy my przypadkiem społecznie nie cofamy się w rozwoju? I szczerze, kiedy kobieta sprowadzana jest (znowu) do pragnienia o mężczyźnie, dzieciach, prowadzenia domu, albo 500+ zamiast kariery, to ja chyba przestaję być kobietą. ■



Katarzyna Gwincińska

Latarniczka i latarnik

Zespół prowadzący przeglądarkę internetową Google ma zwyczaj przypominania użytkownikom historycznych dat, świat czy też bieżących wydarzeń ważnych dla świata, kontynentu, kraju. Jeśli zespół uzna, że do danego dnia można przypisać coś naprawdę istotnego, w oknie przeglądarki, centralnie, zamiast logotypu potentata pojawiają się tak zwane Doodle (w dosłownym tłumaczeniu: gryzmoły) – grafika lub animacja na zadany temat. Oklepany frazes – genialne w swojej prostocie – tu pasuje jak ulał. Rzecz jest przyjemna dla oka, a czasem okazuje się naprawdę interesująca, zwłaszcza gdy Doodle prezentują historyczną postać, która jest mało znana, choć zasługuje na uwagę. Tak zaczął się mój dzień 25 lutego 2017 roku, kiedy to poznałam Idę Lewis. Była to rocznica jej urodzin. Seria slajdów prezentowała kobietę w łodzi, która wyciąga z wody żołnierzy, zawsze w dramatycznych „okolicznościach przyrody” – to burza, to spienione fale, to popękany łódź. Pomyślałam, że to może być ciekawe i zaczęłam czytać.

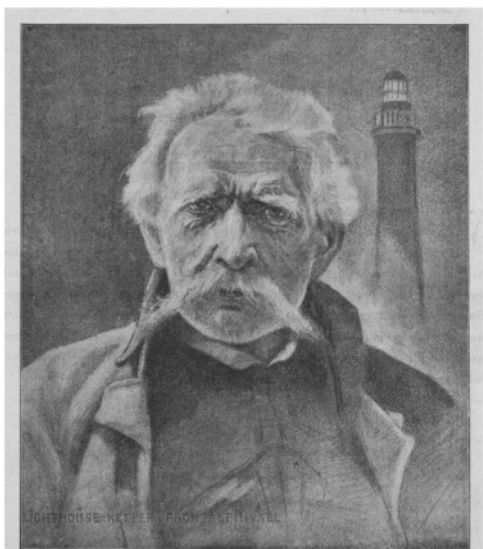
Od razu najważniejsze: Ida Lewis była latarniczką, która uratowała z morskich odmętów wg różnych szacunków od 13 do 26 osób. Polska Wikipedia podaje nawet liczbę 40. Inne źródła twierdzą, że oficjalnie ocalała 19 istnień ludzkich. Nie, nie na raz. Przez całą swoją 39-letnią służbę. Ostatnią osobę uratowała mając 63 lata. Została okrzyknięta najodważniejszą kobietą Ameryki, pojawiała się na okładkach dzien-

ników, tygodników i czasopism kobiecych. Była najlepiej opłacanym latarnikiem i bohaterką narodową. Ktoś nawet wybił medal na jej cześć. O tym za chwilę, najważniejszy jest pierwszy wstrząs: kobieta-latarnik rzuca się łódeczką na wzburzone morze, by ratować tonących. Nie raz, nie dwa – kilkanaście bądź kilkadziesiąt.

Ameryka, XIX wiek, latarnia morska... Niestety. Niestety nie sposób nie pomyśleć w tym momencie o bohaterze noweli Sienkiewicza. Jak skrajnie odmienna jest jego historia, jaki się jawi żałosny i bezużyteczny, jak strasznie głupio zasnął nad tym *Panem Tadeuszem!* Ech, wróćmy lepiej do Idy.

Idawally Zorada Lewis-Wilson urodziła się 25 lutego 1842 roku w Newport, w hrabstwie Newport, w stanie Rhode Island, jednym ze stanów Nowej Anglii, położonym w północno-wschodniej części USA na wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego. Jej ojciec, kapitan Hosea Lewis służył w Amerykańskiej Straży Wybrzeża (US Coast Guard) nazywanej wówczas Amerykańską Służbą Latarniową (jakoś tak – US Lighthouse Service). Gdy Ida miała niecałe 12 lat, w 1853 roku ojciec dostał przydział do latarni morskiej Lime Rock w porcie Newport. Lime Rock to wysępka położona około 200 metrów od wybrzeża. Była połowa XIX wieku i dla wszystkich było oczywiste, że dziewczyna jest wystarczająco dorosła, by pomagać rodzicom w pracy. Przejęła funkcję rodzinnego zaopatrzeniowca i szybko opanowała sztukę wiosłowania – łódź wiosłowa była jedynym środkiem komunikacji ze stałym lądem. Nauczyła się też świetnie pływać. Jako piętnastolatka została najlepszą pływaczką w Newport. Postać Idy obrosła amerykańską legendą, więc fakty nieco w różnych relacjach się mieszają. Jedni twierdzą, że pierwszy ratunek miał miejsce już, gdy miała 12 lat. Pomagała ojcu ratować czworo ludzi z rozbitej łodzi. Niektórzy z kolei piszą, że miała wówczas 16 lat, ale wtedy nie mogłaby pomagać ojcu, bowiem ten w 1854 roku został sparaliżowany w wyniku udaru, a jego obowiązki latarnika przejęła żona wspierana przez nastoletnią córkę.

Ameryka usłyszała o Idzie Lewis w 1869 roku. 29 marca tegoż roku ocalała przed utonięciem w samym środku burzy sierżanta Jamesa Adamsa i szeregowca Johna McLaughlina z Fort Adams. Żołnierze płynęli małą łodzią przez port w kierunku garnizonu. Łódkę prowadził czternastoletni chłopiec, który deklarował, że zna drogę i sobie poradzi. Burza ►



Latarnik. Piotr Stachiewicz, *Latarnik*
ilustracja do noweli Henryka Sienkiewicza, Muzeum Narodowe w Warszawie

Latarniczka i Latarnik

śnieżna wzburzyła portowe wody i łódź się wywróciła. Żołnierze przylgnęli do kadłuba, a chłopiec zniknął w lodowatej wodzie. Pani Lewis wypatrzyła tonących i zawołała Idę, która, nie tracąc czasu na ubieranie się, ruszyła na ratunek bosą. Z pomocą brata wciągnęła tonących do swojej łodzi i przetransportowała ich bezpiecznie na wyspę. Kobieta, która uratowała dwóch mężczyzn, okrzyknięta została amerykańską Grace Darling. Grace Darling też była córką latarnika, angielskiego, i też pomogła ojcu w akcji ratowniczej, po czym samodzielnie wróciła na morze po kobietę z dziećmi. Było to w 1838 roku i Grace stała się bohaterką Zjednoczonego Królestwa. Co ciekawe, Grace zmarła młodo i to w tym samym roku, w którym Ida przysłała na świat. Pomijając jak głupie jest nazywanie wybitnego człowieka imieniem innego wybitnego człowieka – polski James Bond, niemiecki Małysz, francuski Beethoven..., powiedzmy wprost: wkrótce Ida nie miała sobie równych i to jej nazwisko wracało na czołówki gazet. Choć jeszcze dzisiaj internetowa wyszukiwarka grafiki na hasło „Ida Lewis” wyświetla obraz młodziutkiej wioślarki pośród spienionych fal, będący wizerunkiem właśnie Grace Darling. W każdym razie, gdy Ida pojawiła się na okładce gazety „Harper's Weekly” 31 sierpnia 1869 roku, sam prezydent Grant przybył do Newport, by się z nią spotkać. Wdzięczni koledzy z garnizonu Fort Adams zrobili składkę i przekazali Idzie 218 dolarów, a jeden z ocalonych żołnierzy ofiarował jej złoty zegarek. To były czasy!

Rok później Idawally Zorada Lewis w wieku 28 lat poślubiła kapitana Wilsona, ale chyba nie dorastała do roli męża bohaterki i zniknęła po dwóch latach. Ida wróciła na swoją wysepkę. W 1873 roku zmarł Hosea Lewis i latarniczką w Lime Rock została Zorada, matka Idy, choć obowiązki pełniły obie. Zorada zmarła w 1878, a Ida została wcielona do służby i oficjalnie zatrudniona jako latarnik w Lime Rock w 1879 roku. Przypomnę – była najlepiej opłacanym latarnikiem wśród siebie współczesnych. Gdy skończyła 64 lata, otrzymała pensję w wysokości 30 dolarów miesięcznie od Fundacji Bohaterów Andrew Carnegie'ego i najprawdopodobniej przeszła na emeryturę. Zmarła 24 października 1911 roku. W Newport były dzwony i rozlegał się honorowy gwizd w porcie. Pochowano ją na lokalnym cmentarzu na honorowym miejscu, a jej pogrzeb przyciągnął tłumy. W 1924 roku latarnię w Lime Rock nazwano jej imieniem, co było jedynym przypadkiem w całej historii – że się tak wyrażę – latarnictwa w ogóle. Dzisiaj na wysepce funkcjonuje Ida Lewis Yacht Club.

Ale, ale! To jeszcze nie koniec. 16 lipca 1881 roku Ida Lewis została uhonorowana Złotym Medalem za Ratowanie Życia przez prezydenta Ulyssesa S. Granta za uratowanie dwóch żołnierzy, którzy zapadli się pod lód, przemierzając pieszo portowe wody w lutym 1881. W uzasadnieniu czytamy: „Złoty medal został przyznany pani Idzie Lewis-Wilson, która zdobyła sławę w całym kraju, ratując wielu



Lime Rock, Rhode Island, latarnia morska. Ida Lewis biegnie do swojej łodzi

Latarniczka i Latarnik

ludzi pod nazwiskiem Ida Lewis. Akta dołączone do wniosku złożonego w jej sprawie do Departamentu wykazały, że uratowała od utonięcia trzynastę osób i jest oczywiście, że liczba ta była prawdopodobnie znacznie większa. Szczególne wydarzenie, za które Ida Lewis otrzymuje ten medal, to jej akcja ratunkowa z 4 lutego 1881 roku. O godzinie 5 rano dwaj żołnierze należący do garnizonu Fortu Adams w okolicach Newport przechodzili piechotą między koszarami a latarnią Lime Rock, gdzie Lewis-Wilson była latarniczką. Nagle kruchy łód się załamał. Usłyszawszy rozpaczliwe okrzyki pani Lewis - Wilson pobiegła do nich z liną. W bezpośrednim niebezpieczeństwie, na cienkim łodzi, który się pod nią załamywał, i mimo że została wciągnięta do wody przez mężczyzn, zdołała wyciągnąć pierwszą, a potem drugą osobę. Pierwszego mężczyznę wydostała całkowicie bez pomocy. W międzyczasie przybył jej brat i pomógł z drugim. W swoim działaniu wykazała stalowe nerwy, przytomność umysłu i niewiarygodną odwagę. Łód był bardzo niebezpieczny – wkrótce po tym wydarzeniu inni dwaj mężczyźni utonęli w tych warunkach. Wszyscy świadkowie potwierdzili, że pani Lewis-Wilson pospieszyła na ratunek, narażając się na ryzyko utraty życia”

Ida Lewis otrzymała wiele innych odznaczeń. Ludzie spontanicznie stali jej prezenty, pisano dla niej utwory muzyczne, w tym – hm, polski akcencik – utwór *Rescue Polka Mazurka* niejakiego Sidneya Lamberta. Całkiem niedawno niejaka Lenore Skomal napisała o niej książkę pod jakże skandalicznym tytułem *Lighthouse Keeper's Daughter* [Córka latarnika]. Córka latarnika?! Kapitan Hosea Lewis jako latarnik funkcjonował zaledwie przez kilka miesięcy, resztę życia spędził częściowo sparaliżowany i zajmował się głównie zliczaniem ciekawskich, którzy przybywali do Newport pogapić się na jego córkę – latem 1869 roku naliczył dziewięć tysięcy...

Teraz już czas na pana Skawińskiego. Nowela *Latarnik* ukazała się drukiem w 1881 roku. Tak, w tym samym roku, w którym Ida Lewis-Wilson otrzymywała odznaczenie od prezydenta Granta i była na ustach całej Ameryki. Co ten pan Henryk robił w Ameryce, skoro kompletnie zignorował przypadek Idy i stworzył tak kuriozalnego bohatera? Pamiętałam tę nowelę z podstawówki, być może za sprawą zupełnie ekstraordynaryjnej nauczycielki polskiego, która – choć znakomity pedagog – napęłniała nas tak samo strachem jak śmiechem, a ponieważ jej się baliśmy, gdy sprawiała, że nie mogliśmy



Ida w alley Zorada Lewis-Wilson

ze śmiechu wytrzymać, wszyscy nagle szukaliśmy czegoś w teczce pod ławką. *Latarnika* czytała nam na lekcji. Niby nic, normalnie. Gdy jednak doszła do wypowiedzi w języku angielskim i przeczytała: „Ole-rajt” – z akcentem na „e”, po prostu się popłakałam. Cóż. Być może właśnie dzięki temu zapamiętałam ten dramat dramatów, tragedię żołnierza-tułacza, nieszczęśnika prześladowanego przez los, człowieka obciążonego fatum, rzucanego przez świat w lewo i prawo, w amazońskiej dżungli i w innych geografiach miotanego mocą żywiołów, wichrów, susz i egipskich plag. I ten pomysł, że gubernator (tej funkcji nie powierzano byle komu) zatrudnia jako latarnika siedemdziesięciolatka! A w latarni 400 schodów na górę... No nie! Na Wikipedii piszą, że to jedna z najlepszych polskich nowel! Błagam! Ja wiem, wiem, bardzo wielu jest wśród nas wielbicieli prozy Henryka Sienkiewicza i serdecznie ich przepraszam. Przeczytałam *Latarnika* jeszcze raz, właśnie teraz, gdy poznałam Idę Lewis i to „dzieło” było moim pierwszym skojarzeniem. Nie mam pojęcia, czy w XIX wieku istniał ►

Latarniczka i Latarnik

zawód redaktora, jednak ten utwór naprawdę wymagał redakcji. On wręcz wołał o redakcję. To się nie zgadza geograficznie, historycznie – jeden człowiek by nie zdążył przeżyć życia bohatera, logicznie też nie. Ja mam litość dla biednego starca, który zawiódł i to zapewne po raz kolejny, lecz nie mam litości dla Sienkiewicza. Jak on wpadł na pomysł takiego „rozpaczliwca”? Polacy wówczas rozpierzchli się po świecie – to oczywiste. Nie byli jednak tak kosmicznymi nieudacznikami! Beniowski, Strzelecki, Arcowski, że już Kościuszki i Puławskiego nie wspomnę, że wielu, wielu innych. Że nad *Panem Tadeuszem* zasnął, że go tam Mickiewicz do „pagórków zielonych” przeniósł? Nie! Ta historia jest naciągana, niedobra, nie-do-czytania. Mam nadzieję, że nie zadręczamy już dzieciaków taką „lekturą”. A tu w kontrze Ida Lewis, prosta kobieta, od dzieciństwa los zdeterminowany – urodziła się w Newport i umarła w Newport. Dobrze, że było nad morzem, bo gdyby urodziła się gdzie indziej, pewnie nigdy by morza nie zobaczyła. Proste przypisanie do roli, którą przyjęła. Proste przypisanie do miejsca. To takie... dziewiętnastowieczne. Kobieta nie ma żadnych praw w teorii. W praktyce okazuje się być wybitna i doceniona. Nie przypuszczam, że specjalnie się nad tym zastanawiała – obowiązek wzywał, na życie trzeba było zarobić. Mężczyźni zawiedli, a latarnia musiała świecić. Ponoć, kiedy jeszcze była młodą kobietą, zwracano jej uwagę, że wiosłowanie nie jest kobiece! Ponoć odpowiedziała wówczas: „Być może, ale tylko osioł uznałby, że ratowanie życia też nie jest kobiece”.

Przeżywamy dzisiaj nasilenie feminizmu. Kobiety w każdy możliwy sposób podkreślają swoje równe prawa w społeczeństwie, w rodzinie czy w pracy. „Ekstremistki” zaczynają odmieniać nazwy ważnych funkcji przez rodzaje: premiera, ministra, prezesa... To są tylko słowa i to w jednym z trudniejszych języków świata – w języku polskim. W języku angielskim Ida Lewis była *lighthouse keeper* – latarnikiem. W języku polskim może sobie być i latarniczką. Nie zmienia to faktu, że była znakomitą pracownikiem i niezwykle odważnym człowiekiem – niezwykle odważną osobą, jeśli ktoś woli rodzaj żeński. Pracowitość, odwaga czy talent nie mają płci. Gdyby pozostać przy zestawieniu Lewis-Skawiński, blade wypada raczej męska część ludzkości, ale Skawiński jest zbyt fikcyjny nawet jak na fikcję literacką i daleka jestem od nadużywania takich porównań. Przykład Idawally Zorady Lewis-Wilson pokazuje, że pełnię praw nabywa się uczciwą pracą i odwagą, przynajmniej w warunkach pokoju i jakiejś takiej demokracji.





POEZJA

Odwiedziny

Kiedy iskra w jej źrenicy już igrała z zapachem świec
Szybko zanuciła swoją mantrę i zagarnęła kadzidlany dym

Ze śmiechem zakreśliła koło
Ze szlochem otworzyła dłonie

Natychmiast spadły kwaśne deszcze

Zawołała na sylfidy
A te posłusznie przyniosły herbatę

Co tak naprawdę
Chciałeś powiedzieć pierwszemu tchnieniu

Zapytała i straciłem mowę

Bo nic mnie nie trzymało w jednym miejscu
Dom już płonął

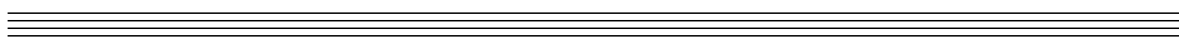
Choć języki ognia jeszcze były daleko
Zaczęły już trawić puste regały i komody

Zniedowierzaniem pokręciła głowę
Otworzyłem znowu drzwi

Czekam

A cementowe podwórze kąpie się w słońcu
A piłka znów ląduje na dachu garażu

I ujada pies
I przeganiają go dzwonki rowerów



Wjasności

W takiej jasności nie mógł zdarzyć się ołów
Eksplodujący feerią barw majówek i festynów
Przemieniający wino w krew co leniwie w korytarzach
Zmarszczek poznawała smak powietrza ciesząc się wreszcie wolnością

Wbity między aorty nie mógł się zdarzyć głąz
Pompujący gruz miarowo tak by kamieniał organizm
Rozweselony oszukańczą lekkością gdy opuszczał ciepło uniesionych
Garści i trafiał na łąki gdzie wschodziły dzikie krzewy krwiałków oraz opuchlizny

Spokój popiołu nie mógł mieć miejsca gdy w lekkim
Pirucie południowych podmuchów nieśmiało odsłaniał złoty uśmiech
Ostrożnie wychodząca kolczaste kłęby ogrodzeń wyglądał jak złudzenie
Przy wtórze radosnego śpiewu osiadał na drodze i odpoczywał przed dalszą podróżą

W rozgorączkowanym gwarze nie będzie żadnej przestrzeni
Na analogowe recytowanie listy ścinanych sosen i świerków
Ich mnogość to obojętny szmer przyznający medale oraz kręcący
Filmy na których ucieczki zawsze się udają a kobiety jednak unikają gwałtu

Będziemy masowo wymierać we wszystkich
Niemożliwościach podkręcanych najnowszymi aplikacjami
Wciągani w wir kolorowych pochodów wpatrzeni tępo w błękit
Ekranów stwierdzimy że to na pewno nie będzie dzisiaj nie w takiej jasności

Paweł Zaremba

urodzony 1982 roku w Grudziądzu, od siedemnastu lat jednak jest związany z Toruniem, gdzie obecnie mieszka. Debiutował w 2010 roku tomikiem wierszy „Sezon Kulturalny W Sodomie”. Czynny uczestnik takich imprez jak Majowy Buum Poetycki i Wolny Rynek Poetycki. Drukowany w, nie istniejących już niestety, pismach: „Undergrunt” i „Portret”



NIEZALEŻNA INTERNETOWA WYTWÓRNIĄ PŁYTOWA PLEXUS OF INFINITY

WWW.PLEXUS-OF-INFINITY.PL

